

GERARD GÓRNICKI**Bitwa szalała do wieczora**powieść
(fragment)

I

Powrót Waclawa

Śnieg padał bezszelestnie. Na nizinie panował ziąb. Polami biegła ledwie przetarta droga. Pokryty szronem koń włókł leniwie sanie. Chłop siedzący w półkoszkach wydał z siebie bełkotliwy okrzyk i wjechał w boczną drogę, w stronę lasu. Waclaw szedł do domu piechotą. Na drodze nie było teraz żywego ducha. Przebiegał pamięcią lata, które spędził w tej okolicy. Z wojennej wrzawy wpadł nagle w ten śnieżny puch, ciepły jak dołek, w którym przycupnęły za rowem kuropatwy. Kiedyś w takie 'zimy włóczył się po polach z sidłami, od czasu do czasu udało mu się upolować zająca, lisa. Ptaki nagle zerwały się, usłyszał furkot, zobaczył ciemne sylwetki i już ich nie było. Oczy piekły ze zmęczenia, płatki śniegu wirowały mu przed oczami. Przystanął, aby odpocząć. „Teraz wojna jak czarna, krwawa rzeka pozostała hen za mną. Byle dalej od niej”, pomyślał. Służył w łodzi podwodnej, stalowej, zaryglowanej, zimnej, Zadarł głowę i uśmiechnął się do kawałka błękitu nieba przezierającego przez biel chmur, Cieszył się, niezbyt śmiało, ale się cieszył, Ruszył dalej, Cisza dzwoniła mu w uszach. Zaczął ogarniać go lęk. Warto by mieć teraz towarzysza, choćby Freitagą, z którym w szesnastym roku uciekł z łodzi podwodnej, Ale Freitag zginął, Jego ojciec jeździł po tej drodze pocztowym dwukonnym dyliżansem, pobierał od pasażerów po jednej marce, potem i po dwie marki. Gdy pocztylion w pelerynie i cylindrze wjeżdżał do miasta, grał na trąbce. Jego koncerty uwielbiały dziewczęta. Spojrzał na wijący się i ginący w śniegu wąski tor, uśmiechnął się pod wąsem, na tę kolej mówili samowarek, nigdy jej się nie śpieszyło. Pod Gniezmem minął był zasypaną śniegiem lokomotywę.

Nagle zauważył, że obok niego idzie stara kobieta. Łzy spływały jej od zimna po twarzy. Była to córka Szeliskiego, dawnego Gorzuchowa, została za sprawą sił nieczystych opętana i posadzono ją o czary. Patrząc na jej zsiniałe, kościste ręce, pomyślał: „Tymi rękami mnie biła, jak byłem chłopcem, przepływałem małe jezioro, aby zobaczyć, co dzieje się w Gorzuchowie”. Nie pamiętał już, za co go biła, zresztą nie chciał pamiętać takich chwil. Szła przed nim po niepewnej drodze wśród zasp. Gdy zwalniała kroku, szła obok niego. Schodził wtedy na bok i on brnął po śnieżnych zaspach.

- Ty jesteś Wacek od Noskowiaków?

- Tak.

- Ponieść ci ten karabin? - spytała.

- Całkiem mi lekko.

- Kiedy dojdiesz w Kłęcku do Landstrasse, to odpoczniesz sobie przy moście.

Staruszka zeszła na bok, żeby ją wyprzedził.

- Jak będziesz ranny umierał, to zawezwij mnie do siebie.

Nic na to nie odpowiedział.

Z daleka zamigotała jasna wieża kościelna. Coś diabelskiego wstąpiło nagle w niego:

- Może, babciu, zatańczymy?

Chwyił ją za ręce i zaczęli wirować w kółko, udeptywali śnieg, potykając się o grudy. Waclaw pogwizdywał melodię, aż ze zmęczenia stanęli w miejscu. Ona siadła na ziemi. Zapytał zdyszany;

- Co będzie pierwsze, wolność czy śmierć?

- Bo ja wiem? Tak czy owak potańcowałam sobie.

A ja potańczę sobie z Anną - próbował znów zagwizdać.

Wtem zza drzew wyłonił się wojskowy samochód. Zbliżył się, minął ich z dudnieniem. Wzbił tumany śniegu. Stali chwilę w milczeniu.

- Będzie jeszcze wojna, babciu, oj będzie.

Stara kobieta szła przed nim. Patrzył w jej zgarbione plecy. Gdy człowiek jest sam, może sobie podumać o spokoju i życiu. O dziewczynie marzyć. Niech to wszyscy diabli. Jak zobaczę to pruskie nasienie, to ręka świerzbii”. Spojrzał na drzewa, na które za młodu wdrapywał się i wsłuchiwał w melodię liści, przez ten las gonił za dziewczyną aż do Wielkiego Jeziora i patrzył w czystą wodę, w której igrało odbicie jej naiwnej twarzy. Stado wron zaszumiało nad głową. Stara kobieta znowu zapytała, czy karabin mu nie ciąży.

- Powiedz twojej matce, że u mnie wszystko w porządku. A ty możesz przyjść do Gorzuchowa, nikt cię tam nie będzie bił. Jak dożyjesz Nowego Roku, przyjdź.

Wacław kiwał głową i powtarzał, że dożyje. Stanęli naprzeciw siebie i nie wiedzieli, co by jeszcze powiedzieć.

- Muszę wracać do domu - powiedziała.

- Dziękuję babci za rozmowę, a o tamtym biciu zapomnę - machnął ręką.

- Pozdrów wszystkich.

- Pozdrowię.

Ruszył ku miastu nie oglądając się. Gdy dotarł do mostu, miał za sobą piętnaście kilometrów przebytej pieszo drogi. Szedł dalej środkiem ulicy i starał się nie patrzeć w okna domów. Na zakręcie zobaczył swojego dawnego nauczyciela Lepiorscha.

- Uciekłeś, tchórze, z frontu. - Niemiec wskazał ręką na zachód. Tamten świat istotnie był za Wacławem, jakby zapadł się pod ziemię. - Nie obchodzi cię ojczyzna.

- Nie muszę się tłumaczyć - Wacław machnął ręką.

- Ani ze mną liczyć. No, tak. Ale niech ci się dobrze wiedzie na niemieckim urlopie, dzielny marynarzu - głos mu złagodniał.

I nagle Wacława, kiedy tak stał, wędrując wzrokiem po małych, zabiedzonych domach od okna do okna, ogarnął żal, że tak szybko i ostatecznie wyjechał z tamtego świata, z gorącego południa, z pięknej Konstancy.

- Nie zostaniesz tutaj - orzekł Niemiec, patrząc mu w twarz.

- Chyba nie.

Wacław utkwiał wzrok w rozświetlonych oknach murowanej karczmy. Całą frontową elewację zajmowało drewniane podcienie na słupach ozdobnie profilowanych w pomysłowe wyrzynania. Efektowny dach, łamany, z półszczytami, pokryty był gładką warstwą śniegu. Karczma Perlickiego stała bokiem do kościoła, nie otynkowanego, oszkarpowanego, w stylu barokowym, zaś po przeciwnej stronie wylotu ulicy w narożniku rynku sterczał hotel Fischbacha, cały w ciemności. Odezwał się dzwon na Anioł Pański.

Wacław zasłuchał się. Nad miasteczkiem szybował dźwięk mocny, rozdierający ciemność, jakby pług o pług dzwonił.

Wszedł do kuchni i powiedział:

- Dobry wieczór. Witajcie.
- Przyjechałeś! - wychudła, mała matka krzyknęła z radością. - Żyjesz! - Podali sobie ręce.
- Jesteś, marynarzem - szepnął młodszy brat, ucałował go w policzek i dotknął czarnego munduru bladymi palcami. Średni wiekiem Józek nic nie mówił, po przywitaniu przyglądał mu się tylko.
- Wacław ujął szczupłą rękę matki i raz po raz całował. Patrzyła na niego zdumiona, zmęczona, postarzała. Skronie jej posiwiały.
- No i żyjesz, chwalić Boga.
- Jestem zdrow.
- Co słychać?
- Nic dobrego. Krew biedniacka się leje.
- Wacław zdjął kurtkę i czapkę. Przeczesał palcami krótkie włosy, wąsy, siadł przy stole.
- Powiadają, że cesarz umarł - rzekła.
- Nie umarł, uciekł do Holandii.
- Kto będzie cesarzem?
- To nie nasz interes.
- Pozbędziemy się niewoli czy nie?
- Pozbędziemy.
- A może i nie. Póki co, zjedz chleba i napij się gorącej kawy. Nasi pytali o ciebie.
- Oj, matko, matko. Pytali, bo szukają rewolucyjnej duszy.
- Panie Jezu, zmiłuj się nad nami!
- Matka zarabiała ciasto na kluski. Iskierki z pieca kuchennego spadały na podłogę jak gwiazdki i gasły. Wacław wędrował wzrokiem od matki do braci stojących pod piecem. Spoglądał przez okno na mroczną ulicę.
- I co teraz będzie? Wrócisz do wojska? - spytała.
- Ja... - zaczął, ale przerwała mu.
- Chleb zawsze się w domu znajdzie. Ziemi nie mamy, ale masz fach w ręce.
- Rzemieślników jest tutaj ponad potrzebę.
- Ślusarski warsztat jest jeden. Schulza.
- Schulza? To on już nie jest zegarmistrzem? Wszystko jedno, ślusarz czy zegarmistrz, bękart Bismarcka. A co ja mam robić? Jesteście mi najbliżsi na świecie, przedostałem się do was przez pożary i trupy, ale tutaj bieda...

- Najgorszą biedą jest niewola.

Siedział na krześle i jadł. Podnosił wzrok, kiedy matka mówiła. Patrzył na obraz świętej Barbary. Matka też, kiedy mówiła do niego, patrzyła gdzie indziej, nie ku niemu.

- Jeszcze głodny? - spytała.

- Nie. U wuja Jasińskiego w Poznaniu zjadłem obiad.

Kicha była jak ręka. A skąd ten obraz święty?

- Z drewnianego kościółka. Ufundował go kiedyś twój pradziad. Po powodzi, gdy Wełna wylała, znalazłam ten obraz u mojej matki na strychu. Tamtym się pewnie w Poznaniu dobrze powodzi, co? - zapytała matka.

- Chodzą nawet do teatru.

Matka zaczęła krzątać się przy kuchni.

- Dali ci co pieniędzy? Przecież ty nic z sobą nie przyniosłeś, tylko ten karabin.

- Zostawiłem plecak u Jasińskiego. Wrócę do Poznania, może u Cegielskiego znajdę robotę...

- Anna pytała o ciebie. Nie pisałeś...

- Listy przyjdą po rewolucji.

- Jakiej rewolucji?...

- Rewolucji.

Starszy brat zbierał się do wyjścia, ale ociągał się, czekał jeszcze na coś ciekawego. Młodszego już w kuchni nie było. Matka stała przy piecu. Płomień oświetlał pomarszczoną twarz, spod chusty błyskały oczy. Waclaw patrzył, jak matka wzięła jego czapkę marynarską i położyła na kredensie.

- Ojciec tam umarł... w boleściach...

- To błogosławieństwo, że nie na froncie pod Verdun.

Nie byłoby co zbierać.

- Przed śmiercią załatwił Józkowi robotę.

- Bardzo ciężka ta gewera? - spytał Józek.

- Nie, nie bardzo.

Chłopiec wziął do ręki karabin, pogładził ostrożnie, spytał, czy jest nowy. Waclaw odpowiedział, że tak, prosto z magazynu w berlińskich koszarach. Józek postawił karabin w kącie. Waclaw siedział przy stole i kruszył czerstwy chleb do kawy.

- Powiedz, Wacek, zanosi się na nową wojnę? - spytała matka. Zerknął jej w oczy.

- Teraz jest zima, a w zimie ciężko wojować. - Zapatrzył się w fajansowy garnuszek z kawą. Wciąż brzmiał mu w uszach wojenny huk. - A może tu zostanę - oznajmił spokojnie.

Matka spoglądnęła na niego uradowana, ale o nic więcej nie pytała.

- Pójdę do burmistrza po pozwolenie na własny warsztat - mówił do garnuszka z kawą. - Abendroth nie odmówi koncesji. Nie jestem rzezimieszkiem.

Matka podeszła do niego. Nigdy właściwie o takich sprawach nie rozmawiali. Pogłaskała jego rękę, potem włosy. Waclaw siedział nieruchomo.

- Byłoby dobrze, gdybyś dostał koncesję. Ale pamiętam, co mówił kiedyś mój dziadek...

- Co mówił?

- Po wojnie francusko-pruskiej landrat gnieźnieński odbierał koncesje...

- Komu?

- Kilku. Stroińskiemu, Leskiemu, Pikuckiemu, Grzybowskiemu, Kaczmarowskiemu, Rębowskiemu, Tudockiemu. Z ziemi mieli żyć. A my ziemi nie mamy.

Waclaw wstał. Ręka matki zsunęła się z jego głowy i zawisła w powietrzu.

- Nie mam wiele czasu - powiedział. - Musze się pospieszyć, żeby zdążyć.

Waclaw stanął przy drzwiach. Zwrócił oczy na karabin.

- Nie bójcie się, matko, wrócę na noc.

Uderzył tyłkiem w spaczone drzwi. Z ciemnej sieni buchnął obłok mroźnego powietrza orzeźwiającego twarz spoconą w zatęchłej kuchni.

- Oj, ziąb okrutny - rzekła za nim matka.

- Nic, rozgrzejemy powietrze. Suszy mnie od tego mrozu.

- Nie gzij się, nie gzij, ty harasztancie.

Śnieg na dworze padał tak łagodnie, że Waclawowi chciało się wierzyć w spokój na świecie. Żółtawe światelka przeświecały przez okienka karczmy do połowy przysypane śniegiem. Jezioro pokryło się lodem, zlodowaciał również drewniany czerpak przy studni. Waclaw ułamał sopelek lodu zwisający z korby i włożył do ust. Otulił się marynarską kurtką. Karczma była już zamknięta i musiał wejść przez kuchnię. Przy stole siedziało trzech mężczyzn, dwóch w pruskich mundurach. Perlicki odwrócił wielką, łysą głowę i wpatrywał się chwilę w Waclawa.

- A ciebie skąd diabli przynieśli?

- Z Konstancy.

Drugi mężczyzna nazywał się Słabęcki, a trzeci Garski. Obaj pochodzili z Kłocka. Grali w karty. Na stole stała butelka gorzałki. Knajpista był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną o wodnistych oczach. Palił fajkę podtrzymując ją szerokimi dłońmi. Słabęcki, który nie miał trzydziestu lat, był średniego wzrostu, lubił mówić o swoim sprycie i bezwzględności. Garski był nieco starszy od Słabęckiego, dbał o swoją powierzchowność, golił się codziennie, lubił mundur galowy i planował bogaty ożenek. Młodzi mężczyźni nosili modne, przystryżone wąsy. Wacław, wśród nich najmłodszy, był szczupły i niecierpliwy.

- Nie widziałem Anny trzy lata.

- Poczekaj. Wpadłeś w nieszczęście z jakąś babą? - spytał Perlicki.

- Nie.

- Marynarze chleją wódkę bez opamiętania - nasrożył się.

- Gdybym był pijany, upadłbym na kolana, powiedziałbym, że jestem czysty jak łza, i poprosiłbym o rękę Anny.

- No chodź, siadaj, wypij z nami - powiedział uśmiechnięty już Perlicki. -

Jak to dobrze, że trafiliście tu w tej kurzawie śnieżnej, Bogu dzięki.

Wacław popatrzył na Perlickiego podejrzliwym wzrokiem. Z jego chudej, wydłużonej twarzy, z zielonych oczu, można było wyczytać, że ruszy do natarcia.

- Ojciec, trzymacie córkę w ukryciu - spojrzał twardym wzrokiem w twarz knajpisty. - Do zakonu pójdzie ona czy co?

- Tak, tak - powiedział Perlicki tonem tak życzliwym, jak tylko potrafił - niełatwe życie ją czeka.

- Dobra, dobra - zlekceważył Wacław całą sprawę.

Garski uniósł rękę do góry.

- Chwileczkę. Wacław przewędrował wielki kawał świata. Należy mu się nagroda. Za szczęśliwy jego powrót do domu, wiara, na jego zdrowie!

Wypili, Perlicki zapalił fajkę. Wacław otrząsnął się z chwilowego zamyślenia:

- Nie wiem, co tutaj teraz się dzieje.

Gryzący dym naftowej lampy wciskał się do oczu. Siedzieli wokół stołu, tak zwyczajnie, grając leniwie w karty, popijali piwo. Dłonie ich, zniszczone od kopania rowów strzeleckich, od żelaza i błota, upodobniły się do rak robotniczych. Palce u rak mieli zakrzywione, już ich nie mogli wyprostować. Spojrzeli po sobie, jakby się chcieli policzyć. Perlicki powiedział za nich:

- Nie ma wszystkich. Mój Boże. Kowol padł w Belgii, Mamrot, Kruk, Kuśnierkiewicz starszy pod Verdun. Oj, przydałaby się ta wiara. Trudno, taka wola boża, chłopcy.

- Rąbaliby z nami szwabskie kasztany, ażby się kurzyło!

Słabęcki trzymał w palcach kartę, damę pikową. Rzucił ją nagle na stół. Waclaw odzyskał swój śpiewny głos i przyjazne uśmiechnięte oczy.

- Walisz, Andrzejku, w karty, jakbyś się chciał talarów pozbyć.

- A jak to było z tobą, Waclaw? Posmakowałeś cygańskiej czerniny w Rumunii? Giglałeś Cyganki, co? - spytał Garski.

- Chcesz wiedzieć, jak smakują? Jak francuskie wino grzane pod pierzyną.

Zaśmiali się i nagle ucichli. Podłoga skrzypnęła. Waclaw odwrócił głowę i spostrzegł Annę stojącą w drzwiach. Patrzał jak zaklęty. Anna wzięła z półki paczkę papierosów i położyła na ladzie. Równocześnie oczy ich spotkały się. Spojrzała na niego głęboko, aż do wnętrzości, jak mu się zdawało.

- Nie wstyd to zadawać się z Cygankami? - spytała.

- Nie - wytrzymał jej spojrzenie. Wpatrywał się w nią uporczywie, w jasną, świetlistą twarz. Zaledwie kilka sekund trwało to oszołomienie. Wstał i podszedł do Anny.

Wyciągnął rękę, jej ciepłe palce zacisnęły się na dłoni jego. To pozdrowienie-powitanie wywołało w nim uczucie pewności, niepokój jednak szybko wrócił. Podała mu paczkę papierosów. Milczała. Raz jeszcze spojrzała mu w oczy z ciekawością. Byli równego wzrostu. Zabłyły jej zęby w rozchyłonych wargach. Po chwili znikła za drzwiami. Waclawa owiał jej zapach. Posłał za nią pomruk: - Dobranoc. - Jej cień rozpląnął się. Za oknem szumiał wiatr, jak w ciemnościach oceanu, kiedy stał na warcie na dziobie okrętu, znużony, nie miał się o co oprzeć ani o ścianę, ani o drzewo. Tylko zimno i ciemność. Zamknął na chwilę oczy.

- Byłeś u doktora Domańskiego?

Waclaw zerwał się na równe nogi i wykonał gest, jakby chciał Perlickiemu dać w gębę.

- A może mam pokazać świadectwo czystości, co?

- Rozdaj karty - rozkazał Garski Waclawowi.

- Jestem zwykłym biedakiem, co musi włóczyć się po świecie. Nie zbieram bogactw, knajpisto, jak ty.

- Jeśli w tej chwili nie zamkniesz gęby, to ci pokażę, gdzie raki zimują!

- W piekle będziesz się smażyć! Za krzywdę takiej jednej, która mogłaby być twoją córką. Ty stary grzeszniku!

- Dobrze, już dobrze, przyjaciele - Garski przerwał ujawnianie męskich tajemnic. - Nie mam zamiaru was rozgrzeszać. Waclaw, twoja matka mówiła, że siedziałeś w twierdzy.

- Pół roku.

- Za co?

Waclaw siadł ponownie przy stole. Jednym haustem wypił piwo.

- Za dezercję z łodzi podwodnej. Miałem dosyć pirackiego życia, nie myślałem być befsztykiem tatarskim dla rekinów. W szesnastym roku w sierpniu zwałem z dwoma Niemcami. Byliśmy na wolności dwadzieścia dni. Sypnęła nas niemiecka lampucera.

Perlicki zagrzmiął basem z lekką satysfakcją:

- Czyli kurwa, ścierwo!

- Miałem dobrą opinię u kapitana von Friesingera. Młody wiek, no i to, że jestem Polakiem. Potrzebowali nas na armatnie mięso. W Rumunii żyliśmy w rowach jak krety, jak wodne szczury. Robactwo żarło człowieka, ale dusza została. Na wieść o rewolucji spartakusów rzuciliśmy broń i nuże do Berlina!

- Czemu im nie pomogłeś? - spytał Słabęcki.

Nie dostał zaraz odpowiedzi. Nastąpiła cisza. Perlicki napełnił fajkę tytoniem. Od drzwi wiało mrozem. Waclaw poruszył ramionami, jakby mu plecy zmarzły. Zrobił komiczny wyraz twarzy, wyrzucił w bok ramiona, zachichotał:

- Dobry wiatr tego roku dla ptaków, a ja jestem lata-wiec, czarny jak kruk. Nie jestem szmatą, żebym uciekał przed rewolucją. Oni tam w Berlinie walczyli z burżujami, ale ja myślałem tak samo jak wy. Rozumiesz?

- Rozumiem. Chodzi o własne życie, o własny dom, o naszą sprawę.

- W Berlinie wstąpiłem do koszar po pięćdziesiąt marek żołdu, wybrałem sobie dobry karabin, sto pięćdziesiąt naboju, cztery ręczne granaty. Damy radę wydostać się na wierzch czy nie? Powiedzcie mi.

Perlicki podszedł do bufetu i przyniósł butelkę kornusu.

- Spiesz się wam do drugiej wojny, co?

Waclaw ciągnął opowieść o sobie dalej:

- W Poznaniu zatrzymałem się na Garbarach u wuja Jasińskiego. Byłem z nim w teatrze na „amfitce” za pięćdziesiąt fenigów. Grano Warszawiankę Wyspiańskiego. W radości i łzach wołałem z innymi: „Powstań, Polsko,

skrusz kajdany"! Stałem na galerii w tym brudnym, pruskim łachu i wiedziałem, że trzeba tutaj ukręcić łeb pruskiej hydrze.

- Toś ty prorok. Coś się dowiedział?

- Do wuja Jasińskiego przychodzili konspiratorzy. Nie znam ich. Ale tam jedni są za walką zbrojną, a inni nie i chcą czekać spokojnie na traktat pokojowy. Mamy czekać, aż dojrzałe jabłko spadnie z drzewa. Jedni słuchają wojskowych, inni zaś polityków - zakończył i sam wychylił kieliszek wódki.

Perlicki podniósł głos:

- Podobno Paluch zorganizował Służbę Bezpieczeństwa za zgodą Berlina. Komu i czemu to służy? Co twój wuja Jasiński na to?

- Wuja Jasiński, kumolu, zostanie po raz piąty ojcem. Chce mieć syna wreszcie. - Waclaw uśmiechnął się i wyszczerzył zęby. Zaśmiał się Garski i Słabęcki. Perlicki usiłował potraktować całą sprawę poważnie, rzekł z przyganą:

- Z ciebie to naprawdę ptak, trzepiesz rękami i jęzorem i nic z tego nie wiemy. Dookoła nas niemieckie majątki, w mieście folwark niemiecki, w Gnieźnie w Radzie Żołnierskiej przeważają Niemcy. Koloniści mają bron, i to jaką! - zdyszał się stary.

Garski się wtrącił:

- Ksiądz Winnicki ma w swoich rękach Radę Ludową i słucha proboszcza Zabłockiego z Gniezna. To jest ważne dla nas.

Waclaw popatrzył na Perlickiego.

-Widziałem Rogalskiego w Poznaniu, kiedy szedłem do doktora Smolińskiego.

Perlicki skrzywił twarz w uśmiechu.

- To jednak byłeś u doktora!

- Tak. Całą dupę wrzody mi obsypały, a chciałbym czyściutką wypiąć na Wylusia. Oni nie mają sił, teściu.

- Ejże, bredzisz, chłopcze. I nie jestem twoim teściem.

- Więc posłuchajcie, kumole - Waclaw się rozochocił znowu. - Mieliliśmy fest oberkocha. Razu pewnego nasz kuchmistrz powiada tak: Przyszedł do mnie porucznik i mówi: „*Hören Sie, Sie wissen, dass heute Kaisergeburtstag ist*”? „*Jawohl*”. Więc już wiedziałem, mówił kucharz, że trzeba coś fajnego ugotować. „*Ich weiss schon, was Sie wollen, feines Fressen für die Mannschaft, einfach* gotować dla wiary, by szkiebry nie chorowali”. I napasł nasz kucharz tych kolonistów fest. Na obiad była zupa z marmolady, sos z

marmolady i porcja kartofli. Od tego futru pokręciło ich. Wylus mógł patrzeć, jak po takim żarciu jego frycom uszy opadały jak francuskim królikom. Oni koty i psy w Belgii żarli...

Perlicki słuchał urzeczony, Waclaw odwzajemnił mu się uśmiechem za to słuchanie. Słabęcki wybuchnął donośnym głosem.

- Mógł im Wylusia ugotować na deser! Ale dosyć tych żartów, wiara. Jeszcze po jednym bąbnijmy i do łóżka.

Perlicki szepnął, nalewając do kieliszków:

- Lubię ruch i gwar jak w kantynie. Całą wojnę było u mnie pusto i cicho. Do jutra, wiara. Tylko wychodźcie pojedynczo.

Pożegnali się i wyszli wszyscy trzej.

Waclaw przypomniał sobie Annę, która tego wieczoru objawiła mu się w drzwiach, spojrzała jego oczy. Oto nagle miłość stała się rzeczywistością. Wyszedł tylnymi drzwiami na pochyłą uliczkę, minął dom doktora Domańskiego, potem obok domu piekarza Lapisa skręcił w krótką uliczkę prowadzącą do jeziora. Usłyszał kroki wydobywające się z szumu wiatru i gwałtowny oddech. Z ciemności wyłoniła się postać starszej kobiety. Odezwała się ochryplym, wystraszonym głosem:

- Dobry wieczór...

Jej twarz lśniła w mroku jak biała plama, rozmazywała się na tle śniegu pokrywającego wysoki brzeg jeziora. Chusta trzepotała wokół jej głowy. Zatrzymał się. Kobieta też przystanąła. Lękliwym głosem zapytała:

- Czy to ty, Stachu?...

- Nie - odparł Waclaw.

Ona zawahała się, znów zabrzmiał jej głos:

- Zdawało mi się, że mój syn wrócił z wojny - uciekła.

Szedł dalej naprzeciw wiatrowi, zmęczony i kiedy tak szedł, wracały wspomnienia młodości, która się dawno skończyła. Przeżycia wojenne, pozostały daleko za nim, jak ciężki krok na drodze. Dreszcz przeleciał po ciele. Z góry spojrzał na drugi brzeg jeziora, tam żyli niemieccy koloniści. Ciemność nie przestawała być groźna. Gdy wróci światło dnia, oświetli ziemię, nie zmieni się jednak nic, żeby można było spokojnie żyć. Zanucił jednak wesołą piosenkę przeciwko wiatrowi i ciemności. Stał na progu domu i uśmiechnął się do siebie z ulgą. W kuchni ogień tlił się jeszcze na palenisku, rzucał lekki blask na ściany. Waclaw mógł rozróżnić znajome kontury mebli, białe naczynia, migotanie płomienia odbitego w obrazach. Wlazł do łóżka i poczuł się szczęśliwy.